

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE

Powieść z dni ostatnich.

43

Po wargach jej przesunął się uśmiech gorzkiej ironii.

Panna Antonina oczekiwała z pewnym niepokojem dalszych pytań. Ale Józia nie pytała już o nic. Przymknęła powieki i leżała nieruchomo. Zdawało się, że nawet nie czuje, iż Anielka poprawia jej poduszki i koldrę i przygląda rozrzucone włosy.

Z tą woskową bladością, z wydłużonym, zaostrozonym owalem twarzy, z głęboko zapadłymi oczyma i bezkrwistymi ustami wyglądała jak cień dawnej pięknej, kwitnącej, pełnej życia i temperamentu dziewczyny.

Koldra podnosiła się leciutko oddechem na jej piersiach. Powieki drgały niekiedy. Gdyby nie to, możnaby pomyśleć, że już nie żyje.

Panna Korzewska, wsparta o poręcz łóżka, przypatrywała się siostrzenicy i kiwając żałośnie głową, co chwila obcierała nos dużą płócienną chustką.

— Proszę pani — mówiła w kilka dni później panna Korzewska do Walczakowej — tego to już zrozumieć nie mogę, że ona do pani nie napisała. No, bo, że do mnie...

Odwrociła głowę ku oknu, przy którym obie stały. Wpatrzyła się w płatki śniegu, fruujące poza szybami.

— Że do mnie przyjechać nie chciała, że mi się nie zwierzyła, to jasne... Nie lubiła mnie... Co to nie lubiła!... Nie znosiła poprostu — panna Antonina tak zbliżyła twarz do okna, że aż przypłaszczyła nos o szybę — Ale panią tak kochała przecież!...

— Istotnie — odpowiedziała w zamyśleniu Anielka — sądziłam, że Józia ma do mnie więcej zaufania...

— Ofi! Uparta była zawsze, harda, nieobliczalna! Szalone dziecko!

— A jednak ja domyślałam się powodów, które jej kazały tak uparcie milczeć.

— Waryactwo i tyle! — zdecydowała panna Korzewska.

Anielka nie odpowiedziała nic, spojrzała tylko w kierunku łóżka, bo zdawało się jej, że Józia się budzi.

— Albo, moja droga pani, co to za fikcja była z tem całym małżeństwem. Ten Żarnicki, ten romansowy amant na utrzymaniu mamy, to, powiadam pani, odrazu mi się nie podobał!... Ale czy to Józka posłuchała kiedy rozsądnej rady?! Pana Pietraszka nie chciała!... No i ma teraz! — dokończyła ciotła już z jakąś złością.

— Jakiego pana Pietraszka?

— Przyzwolity człowiek, proszę pani, stateczny, spokojny i nadoficyał pocztowy. Podobała mu się Józka, byłby się ożenił. Święte życie miałyby przy nim!... Sama swatałam, perswadowałam, ale mnie wyśmiała, wykpiła!...

— Jeżeli nie podobał się jej.. jeżeli go nie kochała. — tłumaczyła Anielka, przygryzając wargi, aby pokryć mimowolny uśmiech.

— Kochała nie kochała! — mruknęła panna Antonina — Dużo jej przyszło z tego, że się w tym gamoniu zakochała!... Nie lepiejby to już było, żeby poszła za tego nauczyciela, z którym ją pani swatała.

— Ja nie swatałam Józki z nikim — odpowiedziała spokojnie Walczakowa — ona nie należy do natur, które się nadają do swatania!... Na to ma zbyt dużo temperamentu i zanadto bujną wyobraźnię.

— Otóż to, ten nieszczęśliwy temperament!...

— ...i gdyby pan Maliniewicz — ciągnęła dalej młoda kobieta, pomijając milczeniem ostatnią uwagę panny Korzewskiej — nie usiłował tak za wszelką cenę wydać ją za mąż za byle kogo, to byłoby się uniknęło niejednej biedy...

— To prawda!.. Pani droga, co to za ojciec!... Choć mój krewny, ale powiedzieć muszę, że już trudno o obojętniejszego ojca!... Żeby go tak w powieści opisać, toby ludzie powiedzieli: niemożliwe! Niema takiego!... A jest jednakowoż, jest! na nieszczęście tych biednych dziewcząt!... Zawsze dbał tyle o córki, co o śnieg zeszlorzony, ale od czasu, jak się ożenił z tą, przepraszam za wyrażenie, malowaną małpą, to już cał-

kiem zdechl pies!... Pani myśli, że jego to naprawdę obeszło?! Gdzie tam!... W pierwszej chwili trochę mu się n'jako zrobiło, ale zaraz sobie zadysponował francuskie kluseczki na obiad!... I napewno jadł z apetytem, a ty Józku choć gif, przepada!...

Panna Korzewska tak energicznie zatrzęsała głową, że aż zachwiały się grzebienie w jej siwiejących, twardo zaczesanych włosach.

Anielka milczała, zamyślona.

— Tak... tak! — rzekła wreszcie — To smutne bardzo, ale cóż na to możemy poradzić!...

— No, powiem ja mu jeszcze słowa prawdy!... Przysłał głupie sto koron i myśli, że się wykupił!...

Anielka nie odpowiedziała nic. Panna Antonina umilkła także.

— Zauważyła pani — podjęła znowu po chwili panna Korzewska — jaka ta Józia teraz dziwna... jak się zmieniła!...

— To chyba naturalne.

— Kiedy ja nie to mam na myśli, że zmieniła, wychudła. Oczywiście, po takiej chorobie musiała się zmienić. Ale ona taka jakaś zupełnie inna niż była. Apatyczna, obojętna na wszystko.

— Osłabiona ogromnie!...

— Kiedy to, powiadam pani, nie z osłabienia! Przecież ze zdrowiem, dzięki Panu Bogu, lepiej. Gorączka spadła, apetyt ma, śpi spokojnie, cery nawet trochę nabrała. Ale ani zapyta o co, ani się uśmiechnie, ani się zainteresuje czemś, ani zasmuci, ani ucieszy. Tak, jakby ją nic na świecie nie obchodziło. Leży przez cały dzień i patrzy w sufit albo przed siebie, że aż strach bierze człowieka.

— Prawda — szepnęła Walczakowa — i ja to spostrzegłam.

— Pani przyniosła jej wczoraj takie śliczne kwiaty!.. O tej porze taki wydatek!... I ona, co dawniej rozpadała się nad każdym zielskiem, ani się nawet nie popatrzyła!... Mówię jej: „przeczytać ci co?“ a ta „dziękuję, nie“ i ani słowa więcej. Powiadam: „wiesz, ojciec pisał“, żeby się choć zapytała, co pisał!... Niel! W tem jest coś dziwnego!...

— Tak, tak!...

— Że się tam nie ucieszyła, jak mnie zobaczyła, to mnie nie zdziwiło, choć zawsze!... No, mniejsza z tem! Ale pani!... Toż ona formalnie o pani marzyła i teraz tak obojętna!... Przecież z samej wdzięczności!... Pani taką ofiarę poniosła dla niej!...

— Cóż znowu!... — protestowała Anielka.

— A może to nie ofiara, odjechać od męża, od dziecka, w zimie, na same święta!...

— Proszę pani, o jakiejś ofierze, czy wdzięczności mowy tutaj być nie może. Przyjechałam tak, jakbym przyjechała do siostry, bo Józki kocham jak siostrę, a może nawet więcej. Raczej wyrzucam sobie, że tak mało troszczyłam się w ostatnich czasach o nią, ale nie chciałam wtrącać się pomiędzy małżeństwo.

— Sama powinna była zwrócić się, a nie dziwaczyć! Albo jak przyjęła tego miłego, poczciwego staruszka, który się nią tutaj pierwszy zaopiekował.

Za oknem śnieg sypał coraz większymi płatami. Anielka, wpatrzona w wirujące, białe chmury, mówiła cicho, z wyrazem wielkiego skupienia w swoich pięknych, głębokich oczach, oczach kobiety niezmiernie dobrej, która stara się zrozumieć i umie przebaczać.

— Niech pani pomyśli tylko, co ona przeżyła!... Takie bezradne, nieuzbrojone stworzenie. Niech pani sobie uprzytomni tylko. To mogło złamać silniejszą, odporniejszą naturę, a Józka!... Biedna, mała, śliczna Józka!...

Głos Walczakowej załamał się, szepem już prawie mówiła dalej:

— Czy pani nie przypuszcza, że tak samo jak choroba zmogła ją fizycznie, tak i dusza jej jest chora!... Bardzo chora!...

Panna Antonina pokiwała głową, na kształt owego Chińczyka z porcelany, który stał na komodzie w jej staropanieńskim pokoju.

— Moja pani, moja droga pani, prawda, że tam się mogło w niej coś przekreślić!... Toż ona kelnerką była w jakiejś norze!... Moja siostrzenica!... Panna Maliniewicz!... A potem między najgorszą hołotą i w nędzy!... Sama jedna, taka młoda i głupia!... Chryste Panie!... To... to jeszcze nie najgorsze co ją spotkało!...

Kobiety spojrzały na siebie i obie zadrżały, przejęte jedną straszliwą myślą.

Walczakowa zakryła rękami oczy i tak trwała przez chwilę.

Panna Konewska zabębniła palcami jakiegoś wściekłego marsza po szybie.

— Musiał chyba mocny wiatr wiać — podjęła po chwili — kiedy się ta Józka rodziła, bo takie to postrzelone! Do niczego przywyknąć, do niczego się przystosować! Nie, żeby broń tej starej Żarnickiej, bo to musi być żmija, ale że tam i Józka musiała wypłacać jakiegoś porządnego figla, to jak amen w pacierzu. Nie byłaby chyba sobą!...

— Cicho!... — szepnęła Anielka. — Józia się budzi.

— Pójdę przypomnieć, żeby jej zaraz ciepłe mleko przynieśli — powiedziała panna Korzewska i wyszła szybko.

Walczakowa pospieszyła ku chorej.

— Jak się czujesz, Józienko?

— Dobrze — brzmiała krótko, sucha odpowiedź, rzucona głosem znużonym, małowym i jakby niechętnie.

— Pić ci się chce?

— Nie.

— Zjadłabyś może co?

— Dziękuję, nie.

Anielka pogładziła miękką, ciepłą dłoń rozrzucone nad czołem włosy przyjaciółki. Józia ani drgnęła pod tą pieśczęcią.

— Chcesz może czego, dziecino?

— Niczego.

Anielka usiadła na krześle przy łóżku i badała wzrokiem rysy wychudłej twarzy Józki, która choć blada jeszcze bardzo i przejrzysta, zaczynała powojni nabierać kolorów życia.

Tylko oczy były ciągle jeszcze równie przegaste, spoglądały przed siebie tępo i miały wyraz dziwnej, zaskarzającej wprost obojętności czy apatii.

Józia leżała na wznak, nieruchomo.

Walczakowa po chwili sięgnęła ręką do stoliczka przy łóżku po butelkę z lekarstwem. Ostrożnie nalala pełną łyżkę stółową i zwracając się do Józki, rzekła:

— Józku, trzeba wziąć lekarstwo.

Chora leniwie obróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

— Lekarstwo? — powtórzyła.

W oczach jej zamigotały nagle, jakby iskierki buntu.

— Poco? — zapytała bezdźwięcznie.

Powieki Walczakowej drgnęły.

— Musisz wyzdrowieć, Józienko!...

— Muszę wyzdrowieć?... Poco?...

Anielka nie odpowiadając przychyliła łyżkę do ust Józki. Chora wypila już bez słowa protestu, ale i bez słowa podzięki za troskliwość.

Walczakowa otarła łyżkę, odłożyła i usiadła w milczeniu. Chora przymknęła oczy i zdawało się, że znowu usypia. Po chwili podniosła powieki i pierwsza przemówiła:

— Anielko!

Anielka żywo zwróciła się ku niej.

— Co Józku?...

— Dlaczegoście wy mi umrzeć nie dały?

Brzmiało to nawet nie jak skarga, ale jak suche rzeczowe zapytanie, które wymaga ścisłej odpowiedzi.

Walczakowa zmieszana się. W pierwszej chwili nie wiedziała, co odrzec, a zanim zdążyła namyślić się, weszła panna Antonina z dużą, pełną szklanką mleka w rękę.

— Pij mleko, Józku! — powiedziała głosem, który jak na nią był bardzo łagodnym, choć nie mógł wyzbyć się całkowicie tonów ostrych i szorstkich.

Józka posłusznie, nic nie mówiąc, wypila mleko z tą samą leniwą obojętnością, jaka cechowała obecnie wszystkie jej ruchy.

Ciotka pamiętała dobrze, że Józka dawniej nie znosiła ciepłego mleka. Bywały o to nieraz awantury, bo panna Antonina uważała, że takie właśnie mleko „odżywia“ i zmuszała do wypicia go opierającą się gwałtownie dziewczynkę.

Teraz życzyła sobie prawie, aby siostrzenica skrzywiła się po dawnemu kapryśnie, czy gniewnie nawet i by zawołała marszcząc brwi:

— Nie chcę!... Nie cierpię!... Nie będę!...

Możnaby jej perswadować, prosić, wykrzyzczać bodaj, ale byłby to przynajmniej jakiś odruch woli, życia, coś, coby przypominało nieśmólną, „szaloną“ Józkę.

A tak, ta figurka, poruszająca się jak automa i przemawiająca jak nakręcona lalka, budzi w pannie Korzewskiej trwogę i niepokój.

(Ciąg dalszy nastąpi)